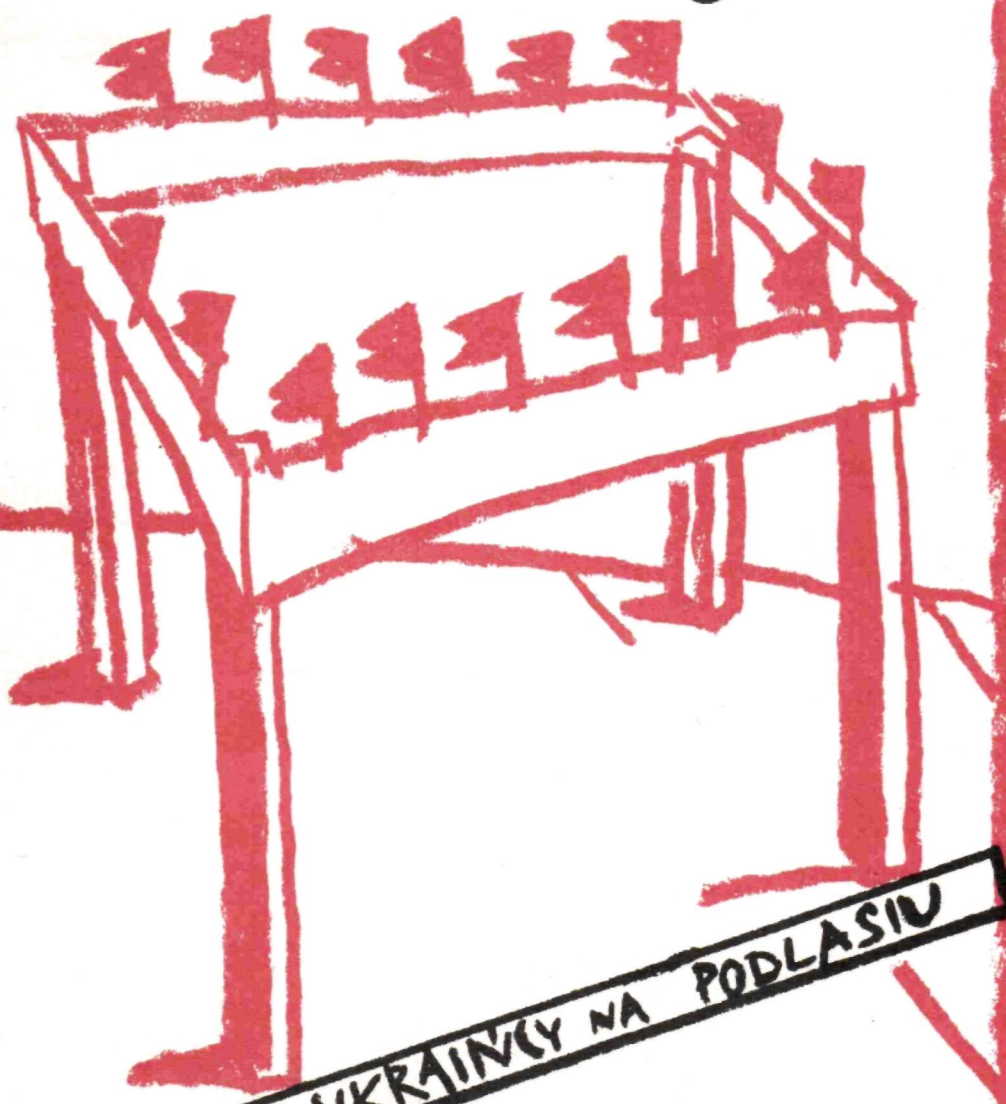


Kwartalnik Wojewódzkiego Domu Kultury Nr 4 / 24 / 98 X - XII

Dyskusja



UKRAJNCY NA PODLASIU

Poleszucy — Białorusini czy Ukraińcy?

Ja, jako działacz mniejszościowy, patrzę spokojnie na odrodzenie ukraińskie w Białostockiem, między Narwią a Bugiem. Powtarza się ono tutaj, zresztą, już któryś raz z rzędu przez dwudziesty wiek, najsilniej w pierwszych latach Drugiej Rzeczypospolitej. Wtedy ruch ukraiński w obszernym bielskim powiecie bazował nie jedynie na przesłankach etnograficznych, ale i politycznych. Istniejące od 1918 roku Państwo Ukraińskie pretendowało do obszaru Polesia wraz z dzisiejszą południowo-wschodnią częścią województwa białostockiego. Na „życzeniowych” mapach Strabla jawiła się końcowa stacją kolejową ze strony ukraińskiej. Początkowe polskie spisy tamtejszej ludności wykazywały duży stopień jej identyfikacji z tą narodowością. Aliści w kilka lat później zjawisko to wygasło niemal bez śladu, nastąpiła reorientacja na rzecz świadomości narodowej białoruskiej właśnie. Przyczyna owego odskoku jest banalna: przednarodowy, a więc póki co plemienny poziom rozwoju świadomości tej formacji etniczno-terytorialnej. Dla dobitniejszego objaśnienia jej materii powołam się w tym miejscu na przykłady bardziej przemawiające do wyobraźni polskiego czytelnika. Mianowicie, istnieje region etnograficzny Wysokich Tatr, różnicujący się zarówno względem polszczyzny jak i słowacczyny, językowo i psychologicznie nade wszystko, nie mówiąc o naturalnych innościach ekonomicznych. Tatry jednak rozgrodziła ongiś, w zamierzonych czasach, granica węgiersko-polska, która przetrwała bez zmian aż po dziś; dodajmy: niekwestionowana również przez Republikę Słowacką. Po obu stronach kordonu żyją ci sami autochtoni, którzy w kontaktach przygranicznych nie mają problemów we wzajemnym porozumiewaniu się, gadają bowiem jednakim dialektem. Jednakże — ci od Zakopanego czują się Polakami, a drudzy, za grzbietem Rys, twierdzą, że są Słowakami. Inny przykład, znany z powstań śląskich, w których samorzutnie tworzące się oddziały ochotnicze dość często przedstawiały sobą przedziwny konglomerat językowy: w tych niemieckich nierzadko wykrzykiwano komendy po polsku, żeby wszyscy zrozumieli je, a w polskich, no, „szprechano”, co wcale nie pomniejszało ich ducha bojowego. Znam to z lektur, w tym i naukowych, i z włości swojej po górach, jak i z pomieszkiwania w śląskich okolicach; pogranicze wszędzie jest podobne, jeśli mieć na uwadze jego uniwersalne mechanizmy.

Otóż — bielski włościanin opowiedział się w połowie lat dwudziestych za białoruskością nie dlatego, że doznał jakowegoś olśnienia czy genetycznie zakodowanej chęci do samorealizacji. Po prostu, osiągnęły swe apogeum procesy narodotwórcze wśród etniki białoruskiej, wkrótce wypełniając sobą i obrzeża byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego, w jego kształcie, w jakim zastygło ono po Unii Lubelskiej, tj. w ramach powstałej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, (rzecz jasna, nowożytni Białorusini nie ogarniali swymi aspiracjami niesłowiańskiej Żmudzi). Kamieniem obraży dla ówczasie też stołecznego Wilna oka-

zała się być kwestia Podlasia, przyłączonego do Korony Polskiej jako osobne województwo z ośrodkiem w Drohiczynie; nigdy się z tym faktem nie pogodzono, aż po rozbiory osiemnastowieczne. To Wielkie Księstwo Litewskie w epoce pojagiellońskiej a nie poprzednie, czyli po odłączeniu odeń ziem ukraińskich, na których niebawem zaczęły wytworzać się własne formy autonomiczne (np. głośna Sicz Zaporoska) — zakreśliło ostatecznie geografie polityczną utrwalającą się inności porzucanej obecnie jako Białoruś, powtarzającą z grubsza rubieżę omanianej Litwy — z wyjątkiem Wileńszczyzny. Ta właśnie druga połowica Obojga Narodów po 1569 roku nadal reprezentowała sobą państwowość z prerogatywami podmiotu prawa międzynarodowego, kulturowo zaś stanowiła zespół starobiałoruski z obowiązującym urzędowo tym językiem. Nie zatem dziwnego, iż kiedy doszło w okresie międzywojennym do ugruntowania się pojęć Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, ustalen stref organizacyjnych między białoruskimi politykami z Wilna i ukraińskimi ze Lwowa, nikomu z nich nie przyszło do głowy wlec przetargi o Podlasie czy Brześć Litewski. W poważnej polityce między narodami obowiązują zasady, lekceważyć które — na uparte — można, lecz ze skutkiem podobnym do ignorowania, np. praw przyrody. A więc — jednym z nich jest bezdyskusyjne uznawanie takich granic państw narodowych, w jakich one istnieją w momencie wchodzenia z nimi w partnerskie porozumienia. Obecna Republika Ukrainka nie żywi najmniejszych pretensji do Polesia, pozostającego w składzie Republiki Białoruskiej. O ile wiem — oficjalni przywódcy mniejszości ukraińskiej w Rzeczypospolitej Polskiej również nie wysuwają w żadnej postaci roszczeń lubo nie uciekają się do czynienia aluzji chociażby, z których możnaby wyrozumieć, iż południowy wschód Białostoczczyzny traktują jako areał przynależny do nich.

Robią to sami swoi, do niedawna wynoszący się na piedestał wielkich patriotów białoruskich, ogłaszający w „Niwie” egzaltowane tyrady! Skąd się wzięła ta u nich schizofrenia, rozdwojenie jaźni? Mój oponent zareplikuje: spokojnie, kolego, to całkiem mieści się w samej naturze odrodzenia narodowego — wczoraj się było Polakiem, a dzisiaj Białorusinem, oni zaś poczuli się Ukraincami, niczym wzmiankowani górale, ano, na zakopiańskiej Bukowinie, u których ciągle bywa, że ktoś odstępuje od polskiej narodowości ku słowackiej, nie mówiąc o licznych teraz Polakach zabiegających o tytuł Niemca... Wolno im! Przyznaję, że tak, rzeczywiście, narodowość jest sprawą osobistą, wolnej i nieprzymuszonej woli jednostki, i nikt nie ma prawa, ani formalnego ani moralnego, do zmuszania kogokolwiek do takiego a nie innego samookreślenia się. Chyba że się nie pojmuje istoty demokratyzmu, o co nie życzylbym sobie być posądzonym. Więc zgoda: są Ukraińcy w Białostockiem, skoro znajdują się tacy mieszkańcy naszego regionu, którzy tak siebie nazywają. Jak dużo ich jest? Nie wiem. Przypuszczam z wyjazdów w teren, że — jednakowoż — niewielu. Lecz nie to jest istotne, bo każdy początek z reguły jest dziełem garstki.

Zastanawiam się nad perspektywami owego odrodzenia, jeśli mamy odnieść się doń nie jak do jakiejś ciekawostki. Historia ruchów mniejszości narodowych Europy wskazuje, że nigdy nie udaje się im wyprzeć zastanej kultury, dokonać swoistej zmiany warty (na to trzeba dysponować własnym państwem, co w przypadku mniejszości w ogóle nie wchodzi w rachubę). Etap dynamiki odrodzeniowej kończy się wcześniej czy później jeno wywalczeniem dla siebie miejsca pod słońcem i wejściem w zwykły tryb współistnienia, symbiozy współżycia. W sytu-

acji regionu białostockiego, z charakterystycznym dlań białoruskim komponentem, ukrainizm wchodzi „na trzeciego” do gry. I nic ponadto.

O ile się zorientowałem, jego podstawową ideologią jest etnograficzne podobieństwo terenu między Narwią, Narewką i Bugiem a północnym Wołyniem. Językoznawcy są prawie zgodni w kwalifikowaniu gwar Bielszczyzny jako północnoukraińskich na południe od linii Bielsk Podlaski — Hajnówka, i przejściowych, ukraińsko-białoruskich, i vice versa na północ ku dolinie Narwi. Wypada od razu zaznaczyć, że to typowanie dotyczy w całości zachodniego i środkowego Polesia, z końcówką którego mamy do czynienia tutaj. I przy okazji — zdarzenie najnowszej daty: wśród Poleszuków, zarówno białoruskich jak i ukraińskich, zrodził się parę lat temu, — jak gdyby na wzór góralskiego onegdaj — ruch narodotwórczy odrębny, który zdołał już ukształtować elementarne struktury organizacyjne, ze skromnym organem prasowym „Balessy” (Pogłosy) i opracowaniem alfabetu... języka poleskiego. Wytworzy się narodowość poleska, dystansująca się od białoruskiej i ukraińskiej? Na razie nie żąda się od Gorbaczowa powołania do życia Republiki Poleskiej... Trudno ocenić zasięg społeczny owej inicjacji. Zarówno odrodzeniowcy ukraińscy w Białostockiem, jak i autorzy narodowości poleskiej w ZSRR popełniają, moim zdaniem, jednoznacznie infantylny błąd, utożsamiając pojęcie narodowości z odrębnością mowy i etniki.

Nie wdając się w rozwlekłe rozważania, wystarczy zilustrować to przykładem Szwajcarów, którzy mówią przecież aż czterema językami (niemieckim, francuskim, włoskim, retoromańskim), czy — Serbów, Chorwatów, Czarnogórców, u których tylko jeden — ojczysty: serbski, zwany także serbo-chorwackim. U Norwegów są dwa — oba literackie. Różnice między poszczególnymi dialektami niemieckimi zdarzają się większe, aniżeli pomiędzy czeskim i polskim. Więc słowo mówione jest ważnym elementem narodowości, ale nie najważniejszym (katolicy w Sokółskiem ani podejrzewają, że ich mowa nie jest „ruską”, jak mylnie powiadają, ponoć narzuconą im, Polakom, przez cara, lecz — właśnie! — autentycznym dialektem białoruskim, o czym wie najgłupszy językoznawca. O świadomości narodowej decyduje — uwaga! — poczucie odrębnego losu historycznego, tzw. swoja historia. Kwestionowana przez „naszych” Ukraińców białoruskość Podlasia grzeszy powierzchowną jednostronnością, filologiczną raptem argumentacją, na udowadnianie której znoszą oni z bibliotek naukowych atlasy dialektów, rozprawy językoznawcze, zbiorki folklorystyczne. Tymczasem meandry dziejowe Nadbuża supłają się w jeden węzeł z dawną Litwą. I to od średniowiecza, kiedy Ruś Halicka została ostatecznie odparta spod murów stołecznego naówczas Nowogródka, wokół którego i w oparciu o Połock uformowało się wnet Wielkie Księstwo z przymiotnikiem imiennym od rzeczownika, jakiego ze świecą szukać i w obecnym słowniku Litwinów (zagadka językowa). Od Unii Lubelskiej —województwo podlaskie w Polsce, ale z t.zw. ruskim językiem (oficjalnym) przez czas pewien. Przeszłość litewska pierwaj tej ziemi, potem onaż polską inigdy ukraińska, nawet w związku przyczynowo-skutkowym. Stanice Księstwa i celne komory warowały w okolach Trześcianki, Kordonu, Hajny (Hajnówka), za Błudowem, u Wasilkowego Hrudu. W Hwornej na Czarnej i Brzozówce; tak trwało to przykordonie do 1795 roku.

Polonizacja Podlasia stała się możliwa nie wcześniej, jak z upadkiem państwa stanowego, kiedy Polakiem mógł zostać niekoniecznie szlachcic lub człowiek przynajmniej wolny. Halina Turska, przedwojenna badacz-

ka powstania polskich wysp językowych na Wileńszczyźnie, zwraca uwagę, iż nieprzypadkowo zaistniały one dopiero w ostatnich dekadach dziewiętnastowiecza, i bez wątplenia w związku z uwłaszczeniem chłopstwa pańszczyźnianego. To jej odkrycie o kapitalnym znaczeniu! W części szczegółowej swej pracy przejrzyście udowadnia ona, iż procesy polonizacyjne wspierały się na dwóch filarach: kościele parafialnym i dworze obszarniczym. Miasto nie miało dostrzegalnego wpływu na nie, ponieważ charakteryzowało się ono niewielką chłonnością wiejskich nadwyżek siły roboczej. To znakomicie objaśnia zachowanie się monolitu etnicznego akurat prawosławnej Bielszczyzny z nikłą infrastrukturą gospodarki szlacheckiej we wschodnich włościach. O widocznym gołym okiem polszeniu się miejscowej ludności można mówić gdzieś od połowy okresu Polski Ludowej, czyli w łączności z masowym przemierzaniem się jej do szybko rozwijających się ośrodków miejskich. Mizeria kulturalna tych nowomieszczań, ledwie odbiegające od anachronizmu plemiennego ich poczucie obcości wobec mieszczuchów polskich w Biel-



sku Podlaskim albo w nowobogackiej Hajnówce, nie dalo efektu partnerstwa etnicznego. Wysławianie się u nich w mowie ojców, a tym bardziej kulturalne białoruskie, wyniesione wczas ze szkół podstawowych i średnich — świeższej daty — praktycznie było i jest nieobecne na trotuarach, także w dzielnicach o zdecydowanej lub wręcz przytłaczającej przewadze mieszkańców, o tej niepolskiej proveniencji. Licea, potocznie nazywane białoruskimi, są właściwie polskimi nie tyle z racji języka wykładowego w nich, lecz z ducha życia codziennego, polskojęzyczności w stosunkach koleżeńskich czy intymnych (nie słyszy się tam „swojskiej gadki”). W rzeczywistości przeistoczyły się one w zakłady dla młodzieży jedynie prawosławnej, z rosnącym odsetkiem — katolickiej. Taka naga prawda.

W miasteczkach — analogicznie. Młodzi wyjątkowo tylko trzymają się

swojszczyzny, tak bowiem wychowano w różnych Kleszczelach jędrne córy i mordziaste chłopaczyska. Plebejska to filozofia walki o chleb, a nie o idee. Wieś, posłana na renty, dogorywa (z nielicznymi młodymi siłacymi się na farmerstwo, bez szans w dobie „planu Balcerowicza”). Na przełomie tysiącleci krajobraz Sciany Wschodniej przemieni się nie do poznania: w miejsce postfeudalnych siól rozsiądą się zagrody wielesethektarowych gospodarstw rolnych, nastawionych — wzorem Zachodu — na monoprodukcję i wielki zbył. Miasteczka rozrosną się w lokalne centra handlowo-rzemieślnicze, i to one będą się liczyły w planach działalności społeczno-kulturalnej w interiorze, w tym i narodowościowej. Lecz jakże odmienne w nich okażą się być warunki, głównie w aspekcie psychologicznym. Takie przekształcenia gospodarczo-urbanizacyjne spowodują upodobnienie się klimatu kulturalno-mentalnego do tego, który obserwuje się teraz w swej żywej postaci stawania się w tymże „odruszczanym” Bielsku Podlaskim czy Hajnówce; pomijam Białystok, w demograficznym potencjale którego udział prawosławnych waży zaledwie istotnym marginesem.

Ruch ukraiński jako ów „trzeci do gry” zyska na swej sile na pewno nie kosztem potężniejszego — nawet na wsi podhajnowskiej — etosu polskiego. Ten mechanizm dochodzenia nowoidei do głosu najzupełniej czytelnie widać w paraleli do rozwoju sekt religijnych w Białostockiem: najbujniej krzewią się one w środowiskach mniejszościowego prawosławia, czyli organizmu wydatnie słabszego w zestawieniu z katolicyzmem, w którym raczej sporadycznie udaje im się zaszcześcić. Kultura ukraińska, jak i białoruska, wschodniosłowiańska w swym rodowodzie i treści jest w sposób bez mała naturalny przystawalna do osobowości tutejszego etnosu. Natomiast zdecydowanie nie przyjmuje jej jako ciała obce indywidualność ludzka wyrosła w aurze polszczyzny, zachowań mimo wszystko zachownoieuropejskich, (w tym tajemnica nierusyfikacyjności Polaków pod zaborami albo obecnej Litwy, protestanckiej Estonii, Łotwy). Ukrainizm osłabi białorutenizm, niejako podzieli się bowiem z nim bilansem nie-Polaków na tym okrawku zachodniopoleskim, dotykającym Bociek, Milejczyc, Siemiatycz, Mielnika. Nie warto wyrokować, w jakiej skali, ale — oczywiście — nie wykraczającej zbytnio za ramy, że tak powiem, mniejszości ukraińskiej w mniejszości białoruskiej (symbol graficzny: małe koło w większym kole). Obie te formacje równie mocno przeniknie kultura polska, nieczym dwa jabłka na jednej strzale. Mniej ważne, że różne pod względem masy i odmiany. Enuncjacje prasowe aktywistów ukraińskości zanarwiańskiej Białostoczczyzny, na jakie ostatnio trafiam, natarczywie sugerują, iż nastąpi przeradzenie się owych terenów, traktowanych jako białoruskie ludnościowo, w ukraińskie mianowicie. Otóż chcę ich w tym miejscu przykro rozczarować: nie takiego nie nastąpi! Chodzi o to, że same te terytoria, że się tak wyrażę, zbieszczadzieją; wraz z zanikiem wsi ta zachodnia resztówka etnicznego areálu poleskiego rozciągnie się w mieszanych narodowościowo i konfesyjnie miasteczkach i najbliższych miastach z polską dominantą. Dziesiątki tysięcy do niedawna gospodarstw rodzinnych z licznymi sołectwami zredukuje się najwyżej do kilkuset rozpiecznionych w wielokropki wzdłuż szlaków: taka logika rozwoju ekonomicznego Europy i świata. Pokażcie mi wieś w rodzaju Trześcianki albo Nowoberezowa gdzieś we Francji dzisiejszej czy Anglii: kiedyś i tam były nie mniejsze, jeszcze w ubiegłym wieku. Wieś jako miernik (wskaźnik?) etniczności przestanie istnieć. Na przykład w wymierających do cna Pasynkach koło Bielska Podlaskiego pojawił się energiczny osadnik z Poznańskiego, młody i zasobny, więc z perspektywą na przejęcie

dookolnych hektarów, żywiłowo porzucanych przez poleszuckich starszuchów (dzieci poszły w miasto). I co? I jaka mowa wkrótce i wyłącznie będzie słuszana na tych włościach?!

Reasumując — obie mniejszości, i tą trwającą białoruską i tą odsadzającą się, ukraińską czeka jednaki los znalezienia się w diasporze, przemiejskiej i miejskiej. Prawosławie przeważa w drobnym archipelagu miasteczek, co wcale nie znaczy, że utrzyma się w nich samych kulturowo niepolskie oblicze (w Dubiczach Cerkiewnych, w których niełatwo przecież o katolika, poczułem się zaskoczony odcinaniem się podkształconej młodzieży od ruszczących rodziców; znakiem tego cosik w trawie piszczy).

I. wreszcie finalny element w analizie zjawiska, określanego odrodzeniem ukraińskim w województwie białostockim. Na granicy państwowej, wyznaczającej kres województwa, niebawem zacznie się wymiana barw oznakowań słupów orientacyjnych, wycofywanie imperium radzieckiego; objawi się naszym oczom nowe państwo, Republika Białoruska (bez innych dodatków nazewniczych). Integracja wszech-europejska — to zniesienie barier międzypaństwowych, pozostawienie im funkcji czysto administracyjnych, ot, podobnych do podziałów międzywojewódzkich... Np. już wjazd z Niemiec do Belgii można przeoczyć, co na razie jest niemożliwe choćby przy eskapadzie z Białegostoku do pobliskiego Grodna. Ale naprawdę jest kwestią li tylko czasu, owo runięcie zapór w podróżowaniu. Wszystko zmierza ku temu. Co ja chcę przez to powiedzieć? A to, że Białostoczczyzna kończy egzystować jako głusz prowincjonalna, zabiedzone przygranicze, obstawione wieżyczkami wartowniczymi. Otworzy się na wschód, gdzie, w odróżnieniu od kierunku zachodniego ma sporo do zaoferowania z niemalą korzyścią. Filują oto po regionie pierwsze forpoczty ościennych ekonomii białoruskich, zawierane są inauguracyjne (przymiarkowe?) kontrakty na wymianę towarową i usługi, np. z gminą Orlą, którą właśnie są skłonni Młodoukraińcy podawać za własną domenę w szeregu dalszych. Kontakty gospodarcze i następujący po nich rozległy rytm niezliczonych związków materialnych mają to do siebie, że w ślad za nimi postępuje wzajemne wzbogacanie się duchowe. Rachunek przewozów zaś twardo wymaga maksymalnie bliskiej odległości (Ukraina ociupinkę za daleko stąd, a Białoruś pod bokiem). Pieniądz nie pyta o narodowość, zysk jest obojętny na etniczne pochodzenie jego wytwórcy. Zachodnie obwody Republiki Białoruskiej jak najnaturalniej ciążyą ku Białostoczczyźnie, dla której one także nie są czymś zbytecznym, a raczej szansą na wzrastanie; chłonnym rynkiem, idealnie wygłodzonym. Niestety, u podłoża wszelkich postępów asymilacyjnych stale widoczny jest brutalnie namacalny konkret. Polonizację pchają do przodu nie szowiniści bynajmniej, czy pięknoduchy ładnie zakochane w wyrazie lechickim, lecz obiektywne, więc bezwzględne realia życia, jak te, że nie da się nie jeść, chodzić nago i sypiać w szalasię... Ukrainizm tutaj jako zdanie sobie sprawy z rodzimej kultury itd. — to stanowczo za mało, by móc odpowiedzialnie nazwać się odrodzeniowym. Istotą absolutnie każdego przebudzenia narodowego, gdzie by ono się nie odbywało, jest wizja lepszego bytowania na tym ziemskim padole. Marzenia pokoleń Polaków o wskrzeszeniu Polski nie urywały się na obronie słowa ojczystego; na to hasło maluczko ochotników zebrałby Piłsudski, batalion poetów i pułk polonistów, pierzchających przy lada strzelaninie... To tak dla jasności sedna nacji.

Białoruskość upowszechniła się na Zanarwiu nie wskutek jakiegś podłej intrygi komunistów z KPZB i zdradzieckiego zaniedbania tego

zakątka przez przedwojenne organizacje ukraińskie, bo to zwykły mit! Ta kraina z północnoukraińskimi dialektami i z przechodzącymi w białoruskie wirowała w orbicie losów właśnie Białorusi. To było decydujące, jak teraz jazda na tym samym z Warszawą wózku wywołuje rozlewiska polonizacyjne. Białoruska mniejszość narodowa nie zatraci swych konturów „większego koła” zupełnie nie dlatego, że będą dokonywać cudów działania patriotów.

Zburzenie tamy wzdłuż Ściany Wschodniej ożywi jej usychające pola.

Kultura nigdy nie wyprzedza chleba, ale też nie występuje sama, bo to byłoby niczym rozmowa głuchego z niemym, a głodnego z sytym.

Sokrat Janowicz

(listopad '90)